

WILLIS GEORGE EMERSON

„TO JEST Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ
ZIEMIA ZA PÓŁNOCNYM WIATREM!”.

DYMIĄCY
BOG

PODRÓŻ DO WNETRZA ZIEMI,
LEGENDARNEJ KRAINY THORA,
DYMIĄCEGO BOGA.

WYDAWNICTWO HORYZONT IDEI
HOID.PL.

Willis George Emerson

DYMIĄCY BÓG

Pierwsze wydanie polskie:

Wydawnictwo Horyzont Idei, Polskie Wydawnictwa Niezależne

HOID.PL / SKLEP.HOID.PL

Toruń, 2023 r.

ISBN: 978-83-65185-68-6

[Facebook.com/HORYZONT IDEI](https://www.facebook.com/HORYZONT_IDEI)

DYMIĄCY BÓG

ALBO PODRÓŻ DO WNĘTRZA ZIEMI

*On jest Bogiem, który zajmuje miejsce w centrum,
na pępku Ziemi, i to właśnie On
tłumaczy religię dla całej ludzkości.*

PLATON

CZĘŚĆ PIERWSZA: PRZEDMOWA

AUTORA

O bawiam się, że pozornie niewiarygodna historia, którą mam zamiar opowiedzieć, zostanie uznana za wynik zaćmienia intelektu, wywołanego, być może, blaskiem odsłonięcia cudownej tajemnicy, a nie za prawdziwy zapis nieporównywalnych z niczym doświadczeń Olafa Jansena, którego ponadprzeciętny intelekt tak przemówił do mojej wyobraźni, że wszelkie myśli wątpliwości prowadzące do krytycznej analizy zostały skutecznie rozproszone.

Marco Polo będzie niewątpliwie niespokojnie wiercić się w grobie na myśl o tej niesamowitej historii, którą pragnę przedstawić. Jest to opowieść tak dziwna, jak przygody barona Münchhausena. Wynika stąd pewne nieporozumienie, że oto ja, niedowiarek, mam być tym, który redaguje historię Olafa Jansena, którego imię jest teraz po raz pierwszy przedstawione światu, ale który musi odtąd sięgnąć rangi jednej z ważnych osobistości żyjących na ziemi.

Przyznaję, że jego wypowiedzi nie kierują się żadnego rodzaju racjonalną analizą, ale mają związek z głęboką tajemnicą dotyczącą mroźnej Północy, która od wieków przyciąga uwagę zarówno naukowców, jak i pasjonatów nauki.

Jakkolwiek są one sprzeczne z kosmograficznymi manuskryptami z przeszłości, na tych prostych stwierdzeniach można polegać, jako na pamięciowym zapisie rzeczy, które Olaf Jansen twierdzi, że widział na własne oczy.

Po stokroć zadawałem sobie pytanie, czy to możliwe, że geografia świata jest niekompletna i że zaskakująca opowieść Olafa Jansena opiera się na możliwych do udowodnienia faktach. Czytelnik może być w stanie odpowiedzieć na te pytania ku własnemu zadowoleniu, jakkolwiek

kronikarz tego opowiadania może być daleki od osiągnięcia przekonania. Jednak czasami nawet ja sam nie wiem, czy zostałem odciągnięty od abstrakcyjnej prawdy przez *ignes fatui* sprytnego wierzenia, czy też wcześniej przyjęte fakty są w końcu oparte na fałszu.

Być może prawdziwy dom Apolla nie znajdował się w Delfach, ale w tym starszym ośrodku ziemskim, o którym wspomina Platon, gdy mówi: „Prawdziwy dom Apolla znajduje się wśród Hiperborejczyków, w krainie wiecznego życia, gdzie, jak mówi mitologia, dwa gołębie lecące z dwóch przeciwległych krańców świata spotkały się w tej prawej krainie, w domu Apolla”. Rzeczywiście, według Hekataeusza, Leto, matka Apolla, urodziła się na wyspie na Oceanie Arktycznym daleko za Wiatrem Wiejącym z Północy.

Nie jest moim zamiarem podejmowanie dyskusji na temat teogonii bóstw ani kosmogonii świata. Moim prostym obowiązkiem jest oświecenie ludzkości w kwestii nieznanego dotąd części wszechświata, tak jak ją widział i opisał stary Norweg, Olaf Jansen.

Zainteresowanie badaniami nad północą jest zagadnieniem rangi międzynarodowej. Jedenaście krajów zaangażowanych jest lub ma swój pewien udział w niebezpiecznej pracy, jaką jest próba rozwiązania jedynej pozostałej kosmologicznej tajemnicy Ziemi.

Jest takie powiedzenie, stare jak wzgórza, że: „prawda jest bardziej zadziwiająca od fikcji” i ten aksjomat w ciągu ostatnich dwóch tygodni zapukał do moich drzwi w najbardziej zaskakujący sposób.

Była druga w nocy, kiedy zostałem wybudzony z głębokiego snu przez energiczne dzwonienie do drzwi. Poranny maruder okazał się być posłańcem niosącym notatkę, nabazgraną prawie nieczytelnie, zapisaną przez starego Norwega imieniem Olaf Jansen. Po długiej próbie rozszyfrowania tekstu, udało mi się odczytać pismo, które składało się na proste zdanie: „Jestem śmiertelnie chory. Przyjdź”. Wezwanie było naglące, więc nie traciłem czasu na przygotowania i ruszyłem...

Być może dobrze byłoby w tym miejscu wyjaśnić, że Olaf Jansen, człowiek, który całkiem niedawno obchodził swoje dziewięćdziesiąte piąte urodziny, przez ostatnie sześć lat mieszkał samotnie w skromnym bungalowie przy Glendale Way, w niewielkiej odległości od biznesowej dzielnicy Los Angeles w Kalifornii.

Niecałe dwa lata temu, pewnego popołudnia podczas spaceru, zostałem zaprowadzony przez domowników Olafa Jansena i jego rodzinę, ku właścicielowi domu, którego później poznałem bliżej dowiadując się, że jest wyznawcą starożytnego kultu Odyna i Thora.

W życzliwym wyrazie twarzy i czujnych szarych oczach tego starego człowieka rysowała się łagodność, a przy tym poczucie samotności, które wzbudzały moją sympatię. Tego dnia, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, pochylony, z rękami założonymi za siebie, chodził tam i z powrotem wolnym, miarowym krokiem. Trudno mi powiedzieć, jaki szczególny motyw skłonił mnie do przzerwania mojego spaceru i rozpoczęcia rozmowy. Wydawał się zadowolony, kiedy skomplementowałem go za atrakcyjność jego domu, oraz za zadbane winorośle i kwiaty obficie piętrzące się nad jego oknami, dachem i szerokim podwórkiem.

Wkrótce przekonałem się, że mój nowy znajomy nie był zwykłym człowiekiem, lecz w niezwykłym stopniu głębokim i uczonym człowiekiem, takim, który w późniejszych latach swego długiego życia zagłębił się w książki i umocnił się w mocy medytacyjnego milczenia.

Zachęciłem go do rozmowy i wkrótce dowiedziałem się, że w południowej Kalifornii mieszkał tylko sześć lub siedem lat, ale kilkanaście lat wcześniej przebywał w jednym ze stanów Środkowego Wschodu. Wcześniej był rybakiem u wybrzeży Norwegii, w rejonie Lofotów, skąd odbywał podróże jeszcze dalej na północ, na Spitzbergen, a nawet na Ziemię Franciszka Józefa.

Kiedy zacząłem odchodzić, wydało się, że pragnął, abym został i poprosił, żebym przyszedł jeszcze raz. Chociaż wtedy nie zwróciłem na to uwagi, to teraz pamiętam, że poczynił osobliwą uwagę, gdy wyciągałem rękę na pożegnanie.

– Przyjdiesz znowu? – zapytał. – Tak, przyjdiesz jeszcze kiedyś. Jestem pewien, że tak właśnie będzie, a ja pokażę ci moją bibliotekę i opowiem ci o wielu rzeczach, o których nigdy nie śniłeś, rzeczach tak cudownych, że być może mi nie uwierzysz.

Śmiejąc się, zapewniłem go, że nie tylko przyjdę ponownie, ale będę gotów uwierzyć w cokolwiek, co zdecyduje się opowiedzieć mi o swoich podróżach i przygodach.

W ciągu następnych dni dobrze poznałem Olafa Jansena, a on stopniowo rozwijał przede mną swoją historię, tak cudowną, że sama jej śmiałość

podważa rozsądek i wiarę. Stary Norweg zawsze wyrażał się z tak wielką żarliwością i szczerością, że zostałem oczarowany jego dziwnymi opowieściami.

Tego wieczoru, gdy przyszedł posłaniec w ciągu godziny byłem w bungalowie Olafa Jansena.

Był bardzo zniecierpliwiony długim oczekiwaniem, chociaż po wezwaniu natychmiast podszedłem do jego łóżka.

– Muszę się spieszyć – wykrzyknął, podczas gdy jeszcze trzymał moją rękę w powitalnym uścisku. – Mam ci do powiedzenia wiele rzeczy, o których nie wiesz, i nie zaufam nikomu poza tobą. W pełni zdaję sobie sprawę – kontynuował pośpiesznie – że nie przeżyję tej nocy. Nadszedł czas, aby dołączyć do moich ojców w wielkim śnie.

Ułożyłem poduszki, aby było mu wygodniej, i zapewniłem go, że cieszę się, że mogę mu służyć w jakikolwiek sposób, bo zaczynałem zdawać sobie sprawę z powagi jego stanu.

Późna godzina, spokój otoczenia, niesamowite uczucie bycia sam na sam z umierającym człowiekiem, wraz z jego dziwną opowieścią, wszystko to razem sprawiło, że moje serce biło szybko i głośno, z uczuciem, którego nie potrafię opisać. Rzeczywiście, tej nocy przy kanapie starego Norwega, wielokrotnie zdarzyło się, że to odczucie, a nie przekonanie, zawładnęło moją duszą i wydawało mi się, że nie tylko wierzę, ale rzeczywiście widzę te dziwne ziemie, dziwnych ludzi i dziwny świat, o którym opowiadał, i słyszę potężny orkiestrowy chór tysiąca cudownych głosów.

Przez ponad dwie godziny wydawał się obdarzony niemal nadludzką siłą, mówił szybko i, jak się wydaje, racjonalnie. W końcu oddał w moje ręce pewne dane, rysunki i szkice map. To – powiedział na zakończenie – zostawiam w twoich rękach. Jeśli uzyskam twoją obietnicę przekazania ich światu, umrę szczęśliwy, bo pragnę, by ludzie poznali prawdę, gdyż wtedy wyjaśni się cała tajemnica dotycząca zamarznętej Ziemi Północnej. Nie ma szans, by spotkał ciebie los, jaki spotkał mnie. Nie zakują cię w kajdany, ani nie zamkną w domu wariatów, bo nie opowiadasz swojej, lecz moją historię, a ja dzięki bogom, Odynowi i Thorowi, będę już w grobie, a więc poza zasięgiem niedowiarków, którzy chcieliby mnie prześladować.

Nie myśląc o dalekosiężnych skutkach tej obietnicy, ani nie przewidując wielu bezsennych nocy, które od tego czasu przyniosło mi to zobowiązanie,

podalem mu rękę, a wraz z uściskiem dłoni zobowiązałem się do wiernego wypełnienia jego ostatniego życzenia.

Gdy słońce wznosiło się nad szczytami San Jacinto, daleko na wschodzie, duch Olafa Jansena, żeglarza, odkrywcy i czciciela Odyna i Thora, człowieka, którego doświadczenia i podróże, jak to zostało opisane, nie mają sobie równych w całej historii świata, odszedł, a ja zostałem sam ze zmarłym.

A teraz, po odprawieniu ostatnich pożegnalnych obrzędów dla tego niezwykłego człowieka z Lofotów i ziem jeszcze dalej na północ ku Przejściu Północno-Zachodniemu, tego odważnego odkrywcy zamarzniętych regionów, który w latach swojej późnej starości szukał azylu, ostoju spokoju w słonecznej Kalifornii, podejmę się upublicznienia jego historii.

Przede wszystkim jednak pozwolę sobie na jedną lub dwie refleksje:

Pokolenie za pokoleniem, tradycje z mglistej przeszłości są przekazywane z ojca na syna, ale z jakiegoś dziwnego powodu zainteresowanie zamkniętym w lodzie, „nieznanym”, nie słabnie wraz z upływem lat, ani w umysłach ignorantów, ani uczonych.

Z każdym nowym pokoleniem niespokojny impuls pobudza serca ludzi do uchwycenia zawołanej cytadeli Antarktydy, kręgu ciszy, krainy lodowców, zimnych pustkowi wód i wiatrów, które są dziwnie ciepłe. Coraz większe zainteresowanie wzbudzają pasma gór lodowych, a cudowne spekulacje dotyczą ziemskiego środka ciężkości, kolebki pływów, gdzie wieloryby mają swoje żłobki, gdzie igła magnetyczna szaleje, gdzie zorza polarna, *Aurora Borealis*, rozświetla noc i gdzie dzielne i odważne duchy każdego pokolenia ośmielają się zaryzykować ekspedycję badawczą, przeciwstawiając się niebezpieczeństwom „najdalszych krańców północy”.

W jednej z najwybitniejszych prac ostatnich lat *Paradise Found, or the Cradle of The Human Race at the North Pole*, autorstwa profesora Williama Fairfielda Warrena, w tym starannie przygotowanym tomie, pan Warren niemalże namacalnie dotknął prawdy, ale minął się z nią ledwie o włos, jeśli opowieść starego Norwega jest prawdziwa.

Doktor Orville Livingston Leech, naukowiec, w niedawno opublikowanym artykule stwierdza:

Prawdopodobieństwo istnienia lądu wewnątrz Ziemi po raz pierwszy zwróciło moją uwagę, gdy podniosłem geodę na brzegu Wielkich Jezior. Geoda jest kulistym i pozornie litym kamieniem, ale po jej przełamaniu okazuje się,

że w środku jest pusta i pokryta kryształami. Ziemia jest tylko większą formą geody, a prawo, które doprowadziło do stworzenia geody w jej wydrążonej formie, niewątpliwie w ten sam sposób ukształtowało Ziemię.

Przedstawiając temat tej niemal nieprawdopodobnej historii, opowiedzianej przez Olafa Jansena i uzupełnionej powierzonym mi rękopisem, mapami i szkicami, stosowne wprowadzenie znajduję w poniższym cytacie:

Na początku Bóg stworzył Niebo i Ziemię, a Ziemia była bez formy i pusta.

A także:

Bóg stworzył człowieka na swój obraz.

Dlatego nawet w tym, co materialne człowiek musi być podobny do Boga, bo jest stworzony na podobieństwo Ojca.

Człowiek buduje dom dla siebie i swej rodziny. Dom nie musi posiadać ganków i werand, one są drugorzędne. Budynek tak naprawdę jest zbudowany dla wygod znajdujących się wewnątrz.

Olaf Jansen poprzez mnie, swoje pokorne narzędzie, przekazuje, że w podobny sposób Bóg stworzył Ziemię dla jej „wnętrza” – to znaczy dla jej wewnętrznych łądów, mórz, rzek, gór, lasów i dolin oraz dla jej innych wewnętrznych wygod, podczas gdy zewnętrzna powierzchnia Ziemi jest tylko werandą, gankiem, gdzie owszem życie naturalne także się rozwija, ale skąpo, jak porosty na zboczu góry, kurczowo trzymając się trudnej egzystencji.

Weź do ręki surowe jajko i z każdego jego końca wyłam kawałek tak duży jak koniec ołówka, wykonując wydmuszkę. Następnie wyciągnij jego zawartość, a wtedy uzyskasz doskonałe odwzorowanie Ziemi, według Olafa Jansena. Odległość od jej powierzchni wewnętrznej do powierzchni zewnętrznej, według niego, wynosi około trzystu mil. Środek ciężkości nie znajduje się w środku ziemi, ale w środku jej skorupy lub powłoki, dlatego też, jeśli grubość skorupy lub powłoki Ziemi wynosi trzysta mil, środek ciężkości znajduje się sto pięćdziesiąt mil pod jej powierzchnią.

W swoich dziennikach pokładowych odkrywcy Arktyki opowiadają o zanurzaniu się igły, gdy statek płynie w regionach najdalszej znanej północy. W rzeczywistości znajdują się oni na zakręcie, na krawędzi

skorupy, gdzie grawitacja jest geometrycznie zwiększona, i podczas gdy prąd elektryczny pozornie odpływa w przestrzeń w kierunku fantomowej idei bieguna północnego, ten sam prąd elektryczny ponownie opada i kontynuuje swój kurs na południe wzdłuż wewnętrznej powierzchni skorupy ziemskiej.

W dodatku do swojej pracy kapitan Sabine podaje relację z eksperymentów mających na celu określenie szybkość poruszania się igły kompasu w różnych szerokościach geograficznych. O ile wiadomo, badanie to było wynikiem wspólnej pracy Peary'ego i Sabine'a. Stwierdza on:

Przypadkowe odkrycie, że wahadło po przeniesieniu go z Paryża w okolice równika zwiększyło swój zakres drgań, dało pierwszy krok do naszej obecnej wiedzy, że polarna oś globu jest mniejsza niż równikowa, że siła ciężenia na powierzchni Ziemi wzrasta stopniowo, zwiększając się w kierunku od równika do biegunów.

Według Olafa Jansena, na początku ten nasz stary świat został stworzony wyłącznie dla zaistnienia świata „wewnątrz” Ziemi, gdzie znajdują się cztery wielkie rzeki – Eufrat, Pizon, Gichon i Hiddekel. Te same nazwy rzek, stosowane w odniesieniu do tych płynących na „zewnątrznej” powierzchni Ziemi, są czysto tradycyjne, pochodzące ze starożytnych, niepamiętnych dla człowieka czasów.

Na szczycie wysokiej góry, w pobliżu źródła tych czterech rzek, Olaf Jansen, Norweg, twierdzi, że odkrył dawno zaginiony ogród „Eden”, istny pępek świata, i że spędził ponad dwa lata studiując i badając tę cudowną „wewnętrzną” krainę, obfitującą w bujne życie roślinne olbrzymie zwierzęta. Kraj, w którym ludzie dożywają wieków, podobnie jak Matuzalem i inne postaci biblijne. Jest to region, w którym jedna czwarta „wewnętrznej” powierzchni jest wodą, a trzy czwarte lądem, gdzie występują rozległe oceany i płynię wiele rzek i jezior, gdzie miasta osiągnęły najwyższy poziom konstrukcji i wspaniałości, a gdzie środki transportu są tak dalece bardziej rozwinięte od naszych, jak my z naszymi w naszym odczuciu niesłychanymi osiągnięciami wyprzedzamy mieszkańców najmniej cywilizowanych obszarów Afryki.

Odległość, bezpośrednio w poprzek przestrzeni wewnętrznej, jest o około sześćset mil mniejsza, niż uznana średnica Ziemi. W samym

centrum tej ogromnej przestrzeni znajduje się tron elektryczności – ogromna kula matowego czerwonego ognia – nie zdumiewająco błyszcząca, ale otoczona białym, łagodnym, świetlistym obłokiem, dającym jednolite ciepło, i utrzymywana w swoim miejscu w centrum tej wewnętrznej przestrzeni przez nienaruszalne prawo grawitacji. Ta elektryczna chmura znana jest ludziom z krajów „wnętrza” Ziemi jako siedziba „Dymiącego Boga”. Wierzą oni, że jest to tron „Najwyższego”.

Olaf Jansen przypomniał mi, jak w dawnych czasach studenckich wszyscy znaleźliśmy laboratoryjne demonstracje ruchu odśrodkowego, które jasno dowodziły, że gdyby Ziemia była ciałem stałym, to gwałtowność jej obrotu wokół osi rozerwałaby ją na strzępy.

Stary Norweg utrzymywał również, że z najdalszych punktów lądowych na wyspach Spitzbergen i Ziemi Franciszka Józefa, można zobaczyć jak rokrocznie stada gęsi lecą jeszcze dalej na północ, zgodnie z tym co zapisują żeglarze i odkrywcy w swoich dziennikach pokładowych. Żaden naukowiec nie był jeszcze na tyle zuchwały, aby spróbować wyjaśnić, nawet choćby ku własnej satysfakcji, w kierunku jakich krain te skrzydlate ptaki są kierowane przez swój subtelny instynkt. Jednakże Olaf Jansen podał nam zupełnie rozsądne wyjaśnienie.

Objaśniona jest również obecność otwartego morza na północy. Olaf Jansen twierdzi, że północny otwór, wlot lub szczelina, że tak powiem, mierzy około czternastu setek mil średnicy. W związku z tym przeczytajmy, co pisze odkrywca Nansen, na stronie dwieście dwudziestej ósmej swojej książki:

Nigdy nie miałem tak wspaniałego wiatru. Na północ, stale na północ, z dobrym wiatrem, tak szybko jak tylko para, gdy żagle mogą nas ponieść, przez otwarte morze mila po mili, godzina za godziną, przez te nieznane regiony, w których to jest coraz to mniej i mniej lodu, aż niemal samo nasuwa się pytanie: „Jak długo to potrwa?”. Oko zawsze zwraca się na północ, zawsze pragnie sięgać poza horyzont przyszłości. Ale przed nami, wciąż i wciąż, zawsze widać to samo ciemne niebo, które oznacza otwarte morze.

W angielskim piśmie „Norwood Review”, w wydaniu z 10 maja 1884 roku, znajdujemy następujący ustęp:

Nie przyznajemy, że jest tam lód aż do bieguna – gdy tylko znajdzie się wewnątrz wielkiej bariery lodowej, na odkrywcę spada nowy świat, klimat jest łagodny jak w Anglii, a potem balsamiczny jak na greckich wyspach.

Niektóre z rzek „wewnątrz Ziemi”, jak twierdzi Olaf Jansen, są większe niż nasze rzeki Missisipi i Amazonka razem wzięte, jeśli brać pod uwagę ilość niesionej przez nie wody, ich wielkość spowodowana jest jednak przez ich szerokość i głębokość, a nie ich długość, i to u ujść tych potężnych rzek, płynących na północ i południe wzdłuż wewnętrznej powierzchni Ziemi, pojawiają się te olbrzymie góry lodowe, niektóre z nich mierzące po piętnaście i dwadzieścia mil szerokości i od czterdziestu do stu mil długości.

Czy to nie dziwne, że ani na Oceanie Arktycznym, ani Antarktycznym, nigdy nie napotkano góry lodowej, która nie składałaby się ze słodkiej wody? Współcześni naukowcy twierdzą, że to proces zamarzania wody eliminuje z nich sól, ale Olaf Jansen twierdzi inaczej.

Starożytne pisma hinduskie, japońskie i chińskie, jak również hieroglify wymarłych ras z kontynentu północnoamerykańskiego, wszystkie mówią o zwyczaju oddawania czci Słońcu i jest możliwe, w zaskakującym świetle objawień Olafa Jansena, że ludzie z wewnętrznego świata, zwabieni przez przebłyski Słońca, gdy jego promienie padały na wewnętrzną powierzchnię Ziemi, albo widząc je z północnego lub południowego otworu, uczyli niezadowolenie z „Dymiącego Boga”, wielkiego słupa lub macierzystej chmury elektryczności, i znużeni swoją stale łagodną i przyjemną atmosferą, podążyli za jaśniejszym światłem, a w końcu zostali wyprowadzeni poza pas lodowy i rozproszeni po „zewnątrznej” powierzchni Ziemi, przez Azję, Europę, Amerykę Północną, a później Afrykę, Australię i Amerykę Południową.^[1]

Jest godnym uwagi faktem, że w miarę zbliżania się do równika, wzrost rasy ludzkiej staje się mniejszy. Jednak Patagończycy z Ameryki Południowej są prawdopodobnie jedynymi aborygenami z centrum Ziemi, którzy przyszedli przez szczelinę zwykle oznaczaną jako biegun południowy i są nazywani rasą olbrzymów.

Olaf Jansen twierdzi, że na początku świat został stworzony przez Wielkiego Architekta Wszechświata, aby człowiek mógł zamieszkać na jego

„wewnętrznej” powierzchni, która od tamtej pory jest miejscem zamieszkania „wybranych”.

Ci, którzy zostali wypędzeni z „rajskiego ogrodu”, przynieśli ze sobą swoją tradycyjną historię.

Historia ludzi żyjących „wewnątrz” zawiera znaną nam narrację przypominającą historię Noego i jego Arki. Wypłynął on, podobnie jak Kolumb, z pewnego portu do obcego kraju, o którym słyszał, że znajduje się daleko na północy, zabierając ze sobą wszelkiego rodzaju zwierzęta lądowe i ptactwo powietrzne, ale już nigdy potem o nim nie słyszano.

Na północnych rubieżach Alaski, a jeszcze częściej na wybrzeżu Syberii, znajdują się cmentarzyska zawierające kły słoni w ilościach tak wielkich, że sugerują one, iż tam w starożytności było ich miejsce pochówku. Z relacji Olafa Jansena wynika, że pochodzą one z wielkiej liczby zwierząt, które zamieszkiwały pola i lasy oraz żyły na u brzegów licznych rzek Wewnętrznego Świata. Szczątki te, przenoszone przez prądy oceaniczne lub lodowe kry, gromadziły się tak samo jak dryfujące drewno na wybrzeżu Syberii. Trwało to od wieków i stąd te tajemnicze kostnice.

Na ten temat William Fairfield Warren, w swej cytowanej już książce, na stronach dwieście dwięćdziesiątej siódmej i ósmej, podaje: „Skały arktyczne opowiadają historię zaginionej Atlantydy, wspanialszej niż państwo Platona. Pokłady skamieniałych kości słoniowych na Syberii przewyższają wszystko w tym rodzaju na świecie. Złóża te były stale eksploatowane przynajmniej od czasów Pliniusza i nadal są głównym miejscem zaopatrzenia w ten materiał. Szczątki mamutów występują tak obficie, że jak mówi Gratacap, „północne wyspy Syberii wydają się być zbudowane z nagromadzonych tam kości”. Inny naukowiec, mówiąc o wyspach Nowej Syberii, na północ od ujścia rzeki Leny, używa takich słów:

Każdego roku są tutaj wykopywane z ziemi duże ilości kości słoniowej. Uważa się, że niektóre z tutejszych wysp nie są niczym innym, jak tylko nagromadzeniem dryfującego drewna i zamrożonych szczątków mamutów oraz innych zwierząt przedpotopowych.

Szacuje się, że w ciągu lat, które upłynęły od początku rosyjskiego podboju Syberii, zebrano kły pochodzące od ponad dwudziestu tysięcy

mamutów.

Ale teraz wróćmy do opowieści Olafa Jansena. Podaję ją w szczegółach, tak jak została spisana w jego manuskrypcie, a w opowieść wplecione są, tak jak je umieścił, pewne cytaty z ostatnich prac na temat eksploracji Arktyki, pokazujące, jak starannie stary Norweg z własnymi doświadczeniami porównywał te, które zdobyli inni podróżnicy na mroźną Północ. Oto co przekazał ów uczeń Odyńa i Thora:

CZĘŚĆ DRUGA: HISTORIA OLAFJA JANSENA

Nazywam się Olaf Jansen. Jestem Norwegiem, choć urodziłem się w małym, nadmorskim, rosyjskim miasteczku Uleaborg (obecnie Oulu, miasto w Finlandii), na wschodnim wybrzeżu Zatoki Botnickiej, północnego ramienia Morza Bałtyckiego.

Moi rodzice poławiali ryby w Zatoce Botnickiej, a w czasie moich narodzin, czyli dwudziestego siódmego dnia października 1811 roku, zatrzymali się w rosyjskim mieście Uleaborg.

Mój ojciec, Jens Jansen, urodził się w Rodvig na wybrzeżu Skandynawii, w pobliżu Lofotów, ale po ślubie zamieszkał w Sztokholmie, ponieważ w tym mieście mieszkali krewni mojej matki. Kiedy miałem siedem lat, zacząłem wypływać z ojcem na wyprawy rybackie wzdłuż skandynawskiego wybrzeża.

Już we wczesnym dzieciństwie przejawiałem zamiłowanie do książek i w wieku dziewięciu lat zostałem umieszczony w prywatnej szkole w Sztokholmie, gdzie przebywałem do czternastego roku życia. Potem regularnie zabierałem się z ojcem na wszystkie jego rejsy rybackie.

Mój ojciec miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt pięć kilogramów, był więc typowym Norwegiem o twardym charakterze, zdolnym do większej wytrzymałości niż jakikolwiek inny człowiek, którego kiedykolwiek znałem. Posiadał łagodność kobiety w małych delikatnych sprawach, ale jego determinacja i siła woli były nie do opisania. Jego wola nie dopuszczała myśli o jakiegokolwiek porażce.

Miałem dziewiętnaście lat, gdy wyruszyliśmy w to, co okazało się naszą ostatnią podróżą rybacką i co zaowocowało tą dziwną historią, która zostanie przekazana światu – ale dopiero po zakończeniu mojej ziemskiej pielgrzymki.

Nie ośmielę się pozwolić, aby znane mi fakty zostały opublikowane za mojego życia, w obawie przed dalszym upokorzeniem, uwięzieniem i cierpieniem. Po pierwsze, zostałem zakuty w kajdany przez kapitana statku wielorybniczego, który mnie uratował, nie z innego powodu niż ten, że powiedziałem prawdę o cudownych odkryciach dokonanych przez mojego ojca i mnie. Ale to nie był koniec moich udręk.

Po czterech latach i ośmiu miesiącach nieobecności dotarłem do Sztokholmu, gdzie okazało się, że moja matka zmarła w poprzednim roku, a majątek pozostawiony przez moich rodziców jest w posiadaniu krewnych mojej matki, ale natychmiast został mi przekazany.

Wszystko mogłoby być dobrze, gdybym tylko potrafił wymazać z pamięci historię naszej przygody i strasznej śmierci ojca.

Wreszcie pewnego dnia opowiedziałem tę historię ze szczegółami mojemu wujowi, Gustafowi Osterlindowi, człowiekowi o znacznym majątku, i namówiłem go, by wyposażył dla mnie ekspedycję w celu odbycia kolejnej podróży do obcego kraju.

Na początku myślałem, że popiera mój projekt. Wydawał się zainteresowany i zachęcał mnie, abym udał się do pewnych urzędników i opowiedział im, tak jak jemu, historię naszych podróży i odkryć. Wyobraźcie sobie moje rozczarowanie i przerażenie, gdy mój wuj podpisał pewne papiery, a ja bez ostrzeżenia znalazłem się w areszcie i zostałem wtrącony do ponurego i straszego domu wariatów, gdzie pozostałem w zamknięciu przez dwadzieścia osiem lat – długich, uciążliwych, przerażających lat cierpienia!

Nie ustawałem w wysiłkach, by przekonać o swoim zdrowiu i protestować przeciwko niesprawiedliwości mojego uwięzienia. W końcu, siedemnastego października 1862 roku, zostałem uwolniony. Mój wuj nie żył, a przyjaciele z młodości byli teraz obcy, gdyż człowiek mający ponad pięćdziesiąt lat, o którym pamiętano jedynie tyle, że był szaleńcem, nie ma przyjaciół.

Nie wiedziałem, co robić, żeby zarobić na życie, ale instynktownie skierowałem się w stronę portu, gdzie zakotwiczone były liczne łodzie rybackie, i w ciągu tygodnia zaciągnąłem się do rybaka o nazwisku Yan Hansen, który rozpoczynał długi rejs rybacki na Lofoty.

Tutaj moje wcześniejsze lata nauki okazały się bardzo przydatne, zwłaszcza w umożliwieniu mi uczynienia siebie użytecznym. Był to początek

kolejnych wypraw, a dzięki oszczędności, w ciągu kilku lat byłem w stanie nabyć własną łódź rybacką. Kolejne dwadzieścia siedem lat pływałem po morzu jako rybak, pięć lat pracując dla innych, a ostatnie dwadzieścia dwa dla siebie.

Przez wszystkie te lata pilnie zgłębiałem książkową wiedzę, jak również ciężko pracowałem w moim biznesie, ale bardzo uważałem, aby nikomu nie wspominać o historii dotyczącej odkryć dokonanych przez mojego ojca i mnie. Nawet tych późnych latach życia obawiałbym się, gdyby ktokolwiek zobaczył lub poznał rzeczy, które spisuję, oraz odkrył szkice i mapy, które mam w swoim posiadaniu. Kiedy moje dni na ziemi dobiegną końca, pozostawię po sobie mapy i zapiski, które oświecą i, mam nadzieję, przyniosą korzyść ludzkości.

Pamięć o moim długim pobycie w domu wariatów, oraz wszystkich strasznych udrękach i cierpieniach jest zbyt żywa, abym mógł dalej ryzykować.

W 1889 roku sprzedałem swoje łodzie rybackie i okazało się, że zgromadziłem majątek, który wystarczyłby mi do końca życia. Następnie przybyłem do Ameryki.

Przez kilkanaście lat mój dom znajdował się w Illinois, w pobliżu Batavii, gdzie zgromadziłem większość książek z mojej obecnej biblioteki, choć wiele ważnych tomów przywiozłem ze Sztokholmu. Później przyjechałem do Los Angeles, przybywając tu 4 marca 1901 roku. Datę tę dobrze pamiętam, gdyż był to dzień drugiej inauguracji prezydentury McKinleya. Kupiłem ten skromny dom i postanowiłem, że tutaj, w zaciszu własnego mieszkania, osłoniętego przez moją własną winorośl i drzewo figowe, mając przy sobie moje książki, wykonam mapy i rysunki nowych ziem, które odkryliśmy, a także napiszę szczegółowo historię od czasu, gdy mój ojciec i ja opuściliśmy Sztokholm, aż do tragicznego wydarzenia, które rozdzieliło nas na Oceanie Arktycznym.

Dobrze pamiętam, że trzeciego dnia kwietnia 1829 roku opuściliśmy Sztokholm na naszej rybackiej łódce i popłynęliśmy na południe, zostawiając wyspę Gotlandię po lewej stronie i wyspę Olandię po prawej. Kilka dni później udało nam się dwukrotnie opłynąć Sandhommar i przedostać przez cieśninę, która oddziela Danię od wybrzeża skandynawskiego. W odpowiednim czasie zawinęliśmy do miasta

Kristiansand, gdzie odpoczęliśmy dwa dni, a następnie zaczęliśmy okrążyć skandynawskie wybrzeże na zachód, kierując się na Lofoty.

Mój ojciec był w morowym nastroju, z powodu satysfakcjonujących zysków, jakie otrzymał z naszego ostatniego połowu, sprzedając go w Sztokholmie, zamiast w jednym z morskich miast wzdłuż skandynawskiego wybrzeża. Był szczególnie zadowolony ze sprzedaży kilku kłów z kości słoniowej, które znalazł na zachodnim wybrzeżu Ziemi Franciszka Józefa podczas jednego ze swoich rejsów na północ w poprzednim roku, i wyraził nadzieję, że tym razem znów będziemy mieli szczęście załadować nasz mały rybacki kuter kością słoniową, zamiast dorszem, śledziem, makrelą i łososiem.

Zatrzymaliśmy się w Hammerfest, na siedemdziesiątym pierwszym stopniu i czterdziestu minutach szerokości geograficznej, na kilka dni odpoczynku. Pozostaliśmy tu przez tydzień, zaopatrując się w dodatkowy zapas prowiantu i kilka beczek wody pitnej, a następnie popłynęliśmy w kierunku Spitzbergenu.

Przez pierwszych kilka dni mieliśmy otwarte morze i sprzyjający wiatr, a potem napotkaliśmy dużo lodu i wiele gór lodowych. Statek większy niż nasz mały kuter rybacki nie byłby w stanie przedostać się przez labirynt gór lodowych, ani precyzyjnie się przez ciasne kanały. Te monstrualne góry przedstawiały niekończący się ciąg kryształowych pałaców, masywnych katedr i fantastycznych łańcuchów górskich, ponurych strażników, stojących nieruchomo jak strzelisty klif z litej skały, milczących jak sfinks, opierających się niespokojnym falom niespokojnego morza.

Po minięciu wielu krętych kanałów dotarliśmy na Spitzbergen 23 czerwca, zakotwiczyliśmy na krótko w zatoce Wijade, połów okazał się sporym sukcesem. Następnie podnieśliśmy kotwicę i przepłynęliśmy przez cieśninę Hinlopen, po czym wybraliśmy się dalej ruszając wzdłuż północno-wschodniego lądu.^[2]

Z południowego zachodu zerwał się silny wiatr, a mój ojciec powiedział, że dobrze będzie z niego skorzystać i spróbować dotrzeć do Ziemi Franciszka Józefa, gdzie rok wcześniej przypadkowo znalazł kły słoniowe, które przyniosły mu tak dobry zarobek w Sztokholmie.

Nigdy ani wcześniej, ani później, nie widziałem tak wielu ptaków morskich, były tak liczne, że zasłaniały całe skały na linii brzegowej

i zaciemniały niebo.

Przez kilka dni płynęliśmy wzdłuż skalistego wybrzeża Ziemi Franciszka Józefa. W końcu pojawił się sprzyjający wiatr, który pozwolił nam przedostać się na zachodnie wybrzeże i po dwudziestu czterech godzinach żeglugi dotarliśmy do pięknej zatoki.

Trudno było uwierzyć, że to daleka północna kraina. Miejsce to było zielone od bujnej roślinności i chociaż obszar ten nie obejmował więcej niż jeden lub dwa akry, to jednak powietrze było tam ciepłe i spokojne. Wydawało się, że znajduje się w tym miejscu, gdzie wpływ Prądu Zatokowego jest najsilniej odczuwalny.^[3]

Na wschodnim wybrzeżu było wiele gór lodowych, ale tutaj znaleźliśmy się na otwartych wodach. Daleko na zachód od nas znajdowały się kolejne góry lodowe, a jeszcze dalej na zachód lód wyglądał jak pasma niskich wzgórz. Przed nami i bezpośrednio na północy – rozpościerało się otwarte morze.^[4]

Mój ojciec był gorliwym wyznawcą Odyna i Thora i często opowiadał, że są to bogowie, którzy przybyli z daleka, zza „północnego wiatru”.

Istniały przekazy, jak wyjaśniał mój ojciec, że jeszcze dalej na północ znajdowała się kraina piękniejsza niż jakakolwiek, którą śmiertelnik kiedykolwiek znał, i że zamieszkiwali ją „Wybrańcy”.^[5]

Moja młodzięcza wyobraźnia rozpalona zapałem, gorliwością i religijną pasją mojego dobrego ojca sprawiła, że wykrzyknąłem: „Dlaczego więc nie popłynąć do tej dobrej ziemi? Niebo jest czyste, wiatr sprzyjający, a morze otwarte”.

Nawet teraz widzę wyraz przyjemnego zaskoczenia na jego twarzy, gdy zwrócił się w moją stronę i zapytał: „Mój synu, czy jesteś gotów wyruszyć ze mną daleko poza to, co człowiek kiedykolwiek odważył się zbadać? Odpowiedziałem twierdząco. „Bardzo dobrze”, odparł. „Niech bóg Odyn nas chroni!” – i szybko regulując żagle, spojrzął na nasz kompas, skierował dziób w kierunku północnym przez otwarty kanał i tak rozpoczęła się nasza podróż.^[6]

Słońce było nisko na horyzoncie, gdyż był to dopiero początek lata. Na dobrą sprawę mieliśmy przed sobą prawie cztery miesiące dnia, zanim mroźna noc mogła znów się pojawić.

Nasza mała rybacka łódka ruszyła do przodu, zupełnie jakby była tak samo spragniona przygód, jak my. W ciągu trzydziestu sześciu godzin znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku najwyższego punktu na linii brzegowej Ziemi Franciszka Józefa. Wydawało się, że płyniemy w silnym nurcie biegnącym z północy na północny wschód. Daleko na prawo i lewo od nas znajdowały się góry lodowe, ale nasza mała łajba zanurzyła się w wąskie przesmyki, przeszła przez kanały i wyszła na otwarte morze – kanały te były w niektórych miejscach tak wąskie, że gdyby nasza jednostka nie była tak mała, nie byłoby szans byśmy się przez nie przedostali.

Trzeciego dnia dotarliśmy na wyspę. Jej brzegi obmywało otwarte morze. Mój ojciec postanowił zatrzymać się w tym miejscu i poświęcić jeden dzień na jego obejrzenie. Ten nowy ląd był pozbawiony drewna, ale na północnym wybrzeżu znaleźliśmy duże nagromadzenie dryfującego drewna.^[7]

Po jednodniowej eksploracji linii brzegowej tej wyspy, podnieśliśmy kotwicę i zwróciliśmy dziób na północ na otwartym morzu.^[8]

Pamiętam, że ani mój ojciec, ani ja nie włożyliśmy nic do ust przez prawie trzydzieści godzin. Być może było to spowodowane napięciem związanym z podnieceniem naszą dziwną podróżą po wodach położonych dalej na północ, jak mówił mój ojciec, niż ktokolwiek wcześniej był. Pobudzony umysł przytępił wymagania potrzeb fizycznych.

Zamiast intensywnego zimna, jak się spodziewaliśmy, naprawdę było tam cieplej i przyjemniej niż podczas pobytu w Hammerfest na północnym wybrzeżu Norwegii, jakieś sześć tygodni wcześniej.^[9]

Obaj szczerze przyznaliśmy, że jesteśmy bardzo głodni, więc natychmiast przygotowałem porządny posiłek z naszej dobrze zaopatrzonej spiżarni. Gdy już porządnie się najedliśmy powiedziałem ojcu, że chyba pójdę spać, bo zaczynałem się czuć bardzo senny.

– Bardzo dobrze – odpowiedział – ja będę czuwał.

Nie jestem w stanie określić, jak długo spałem, wiem tylko, że nagle obudził mnie straszliwy hałas. Ku mojemu zaskoczeniu, zastałem ojca śpiącego spokojnie. Zawołałem do niego żarliwie, a on podniósł się szybko na równe nogi. Gdyby nie chwycił się natychmiast poręczy, z pewnością zostałby wyrzucony na wzburzone fale.

Szalała zaciekle burza śnieżna. Wiatr był bezpośrednio za rufą, pędził nasz maszt z ogromną prędkością, co raz po raz groziło jej wywróceniem.

Nie było czasu do stracenia, trzeba było natychmiast opuścić żagle. Nasza łódź wiła się w konwulsjach. Po obu stronach dostrześliśmy kilka gór lodowych, ale na szczęście bezpośrednio na północ pozostawał otwarty kanał. Ale czy takim pozostanie? Przed nami, opasując horyzont od lewej do prawej, znajdowała się parująca mgła, czarna jak egipska noc przy powierzchni wody, a biała jak chmura pary u góry, która w końcu zniknęła z pola widzenia, zlewając się z wielkimi białymi płatkami padającego śniegu. Nie sposób było ustalić, czy skrywała ona zdradziecką górę lodową, czy jakąś inną ukrytą przeszkodę, o którą nasz mały stateczek mógłby się rozbić, posyłając nas do wodnego grobu, czy też była tam jedynie arktyczna mgła i nic więcej.^[10]

Jakim cudem uniknęliśmy zniszczenia, nie wiem. Pamiętam, że nasz mały statek skrzypiał i jęczał, jakby był żywy, a coś jakby rozrywało jego tkanki. Kołysał się i zataczał, niby pochwycony przez jakiś zaciekły wir lub burzę.

Na szczęście nasz kompas był przymocowany długimi śrubami do belki poprzecznej. Większość naszego prowiantu została jednak wyrzucona i zmieciona z pokładu kabiny i gdybyśmy sami nie podjęli już na samym początku środków ostrożności i nie przywiązali się mocno do słupka masztu, zostalibyśmy zmieceni w głąb morza.

Ponad ogłuszającym tumultem szalejących fal usłyszałem głos mojego ojca.

– Odwagi, mój synu – krzyczał – Odyn jest bogiem wód, towarzyszem odważnych i jest z nami. Nie bój się.

Wydawało mi się, że nie ma szans, abyśmy uniknęli straszliwej śmierci. Mały szkuner płynął po wodzie, śnieg padał tak szybko, że był aż oślepiający, a fale uderzały o nasze burty z szaloną białą furią. Nie było wiadomo, kiedy zostaniemy zderzeni z jakąś dryfującą lodową skałą. Ogromne fale unosiły nas na górskie szczyty fal, a następnie pogrążały nas w dolinach morskiego koryta, jakby nasz kuter rybacki był tylko kruchą skorupą. Gigantyczne fale o białych czapach, niczym prawdziwe mury, osaczały nas od przodu i od tyłu.

Ta straszna nerwowa męka, z jej bezimiennymi okropnościami napięcia i agonią strachu nie do opisania, trwała ponad trzy godziny, a przez cały czas pędziliśmy naprzód z ogromną prędkością. Nagle, jakby zmęczony

szaleńczymi wysiłkami, wiatr zaczął zmniejszać swoją furię i stopniowo słabnąć.

W końcu zapanowała doskonała cisza. Mgła również zniknęła, a przed nami rysował się pozbawiony lodu kanał szeroki na dziesięć lub piętnaście mil, z kilkoma górami lodowymi daleko po naszej prawej stronie i przerywanym archipelagiem mniejszych po lewej.

Obserwowałem ojca uważnie, zdecydowany milczeć, dopóki on nie przemówi. Teraz odwiązał linę od pasa i bez słowa zaczął pracować przy pompach, które na szczęście nie zostały uszkodzone, uwalniając słup od wody, która zebrała się w szaleństwie burzy.

Postawił żagle tak spokojnie, jakby zarzucał sieć na ryby, a następnie zauważył, że jesteśmy gotowi na sprzyjający wiatr, gdy ten nadejdzie. Jego odwaga i wytrwałość były naprawdę niezwykle.

Po zbadaniu sprawy stwierdziliśmy, że pozostała nam mniej niż jedna trzecia prowiantu, a ku naszemu przerażeniu odkryliśmy, że nasze bukłaki z wodą zostały wyrzucone za burtę, podczas gwałtownego zanurzenia naszej łodzi.

Dwie nasze beczki były, co prawda, w głównej ładowni, ale obie były puste. Mieliśmy spory zapas jedzenia, ale nie mieliśmy świeżej wody. Od razu zdałem sobie sprawę z naszego fatalnego położenia. Wkrótce ogarnęło mnie dojmujące pragnienie.

– Jest rzeczywiście źle – zauważył mój ojciec. – Wysuszmy jednak nasze potargane ubrania, bo jesteśmy przemoczeni do suchej nitki. Ufaj bogu Odynowi, mój synu. Nie trać nadziei.

Słońce biło w dół pod kątem, jakbyśmy znajdowali się na południowej szerokości geograficznej, a nie na dalekiej Północy. Zataczało kręgi, a jego orbita była zawsze widoczna i wznosiła się każdego dnia coraz wyżej, często było przykryte mgłą, ale zawsze zaglądało przez niby koronkową konstrukcję chmur jak jakieś frasobliwe oko losu, strzegące tajemniczej Ziemi Północnej i zazdrośnie obserwujące figle człowieka. Daleko po naszej prawej stronie promienie wpadały na pryzmaty gór lodowych, tworząc piękny widok. Ich odbicia emitowały błyski granatu, diamentu i szafiru, tworząc pryzmatyczną panoramę niezliczonych kolorów i kształtów, podczas gdy poniżej widać było zielono zabarwione morze, a powyżej purpurowe niebo.

CZĘŚĆ TRZECIA: ZA PÓŁNOCNYM WIATREM

Próbowałem zapomnieć o pragnieniu, zajmując się wyniesieniem z ładowni jakiegoś jedzenia i pustego naczynia. Sięgając przez boczną bandę statku, napełniłem naczynie wodą w celu umycia rąk i twarzy. Ku mojemu zdumieniu, kiedy woda zetknęła się z moimi ustami, nie poczułem smaku soli. Byłem zaskoczony tym odkryciem.

– Ojcie! – wykrzyknąłem z serca – woda, woda jest słodka!

– Co, Olaf? – krzyknął zdumiony ojciec, rozglądając się pospiesznie dookoła. – Z pewnością się mylisz. Nie ma tu żadnego lądu. Popadasz w obłąd.

– Ależ spróbuj sam! – zawołałem.

DYMIĄCY BÓG:

CZEŚĆ PIERWSZA: PRZEDMOWA AUTORA	3
CZEŚĆ DRUGA: HISTORIA OLAFJA JANSENA	14
CZEŚĆ TRZECIA: ZA PÓŁNOCNYM WIATREM	22